

Trzy wyścigi epoki AI. Stawką podmiotowość



ANDRZEJ HALESIAK

ekonomista i menedżer, Przewodniczący Rady Polskiego Instytutu Ekonomicznego, Członek Rady Nadzorczej Polskiego Funduszu Rozwoju, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Sztuczna inteligencja zmienia nie tylko sposób, w jaki pracujemy, uczymy się i podejmujemy decyzje, ale także układ sił między pracą a kapitałem, obywatelami a instytucjami oraz człowiekiem a technologią. W debacie publicznej często opisujemy te zmiany tak, jakby AI była autonomiczną siłą, która „narzuca tempo”, podczas gdy za kierunkiem i sposobem jej wdrażania stoją konkretne decyzje, interesy i relacje władzy. Musimy nauczyć się korzystania z nowych narzędzi, ale nie mniej istotne jest zachowanie zdolności współdecydowania o tym, jak technologia kształtuje nasze życie, pracę i kulturę. W epoce AI kluczowym wyzwaniem staje się obrona podmiotowości – indywidualnej, społecznej i politycznej.

Sztuczna inteligencja jest już z nami na dobre. Algorytmy rekomendujące filmy, systemy oceny zdolności kredytowej, narzędzia analizy obrazu medycznego – wszystko to jest w użyciu od dawna i działa po cichu w tle naszego codziennego życia. Ale dopiero od listopada 2022 roku – kiedy miała miejsce premiera publicznej wersji ChatGPT – AI naprawdę „weszła pod strzechy”. Przestała być sprawą inżynierów, badaczy i firm technologicznych, a stała się tematem rozmów przy kuchennym stole, zaczęła być na poważnie omawiana w gabinetach administracji publicznej czy na posiedzeniach zarządów.

W ciągu nieco ponad trzech lat AI stała się jednym z głównych zagadnień życia biznesowego, politycznego i prywatnego.

Rodzi olbrzymie nadzieje – na wzrost produktywności, przełomy w nauce, dostęp do wiedzy, którego dotąd nie mieliśmy. Rodzi też poważne obawy – o miejsca pracy, o autonomię człowieka, o jakość informacji w przestrzeni publicznej, o samą tkankę relacji międzyludzkich. Większość publicznej rozmowy o AI obraca się wokół jednego z tych dwóch biegunów albo prób ich równoważenia.

Tymczasem pod tymi nadziejami i obawami wyczuć można coś jeszcze – wrażenie, że zostaliśmy wprawieni w ruch przez siłę większą od nas. Że adaptujemy się do warunków, których nie ustaliliśmy. Że nawet entuzjaści AI mówią o niej jak o pogodzie – czymś, co po prostu się dzieje i do czego trzeba się dostosować.

Warto bliżej przyjrzeć się temu wrażeniu, bo jest ono ważne. Jest ostrzegawczym sygnałem gubienia podmiotowości.

AI przestała być jedynie narzędziem technologicznym i stała się siłą kształtującą debatę o pracy, wiedzy, relacjach i autonomii człowieka. Najważniejsze pytanie nie dotyczy jednak tego, czy za nią nadążymy, lecz czy w procesie adaptacji nie zaczniemy tracić własnej podmiotowości.

Trzy wyścigi, w których bierzemy udział

AI, w postaci, którą znamy od końca 2022 roku, zmusza nas do wystartowania w trzech równoległych wyścigach. Każdy z nich ma swoją logikę, swoich uczestników, swoje stawki. Każdy też wywołuje to samo niewygodne wrażenie: że biegniemy, choć nie można powiedzieć, że zapisaliśmy się na ten bieg.

Pierwszy to wyścig o kompetencje. Co kilka miesięcy pojawia się nowy model, nowe narzędzie, nowa metoda pracy z AI. Trzeba się ciągle uczyć, dostosowywać, odświeżać umiejętności. Pracownicy biurowi, programiści, lekarze, prawnicy, nauczyciele – wszyscy słyszą, że muszą biec, by nie zostać w tyle. Temat „kompetencji przyszłości” pojawia się w korporacjach, ministerstwach, na uczelniach. Rynek pracy zdaje się przyspieszać, a wraz z nim rośnie presja na każdego, kto na tym rynku jest. To wyścig najbardziej widoczny, ten, o którym najwięcej się mówi i pisze.

Drugi to wyścig o osąd. Skoro AI potrafi tak wiele – pisać teksty, analizować dane, programować, rozwiązywać problemy logiczne

– kluczową kompetencją staje się umiejętność decydowania „co warto robić?”. Co powinniśmy delegować maszynie, co zachować dla siebie, jakie pytania stawiać, gdzie szukać wartości. Osąd przesuwają się z poziomu wykonania na poziom kierunku. To wyścig głębszy od pierwszego, bo nie chodzi już o nadążanie za zmianami narzędzi, ale o trzymanie kompasu w świecie, w którym wykonanie staje się tanie, a wybór – drogi.

Trzeci to wyścig o tożsamość. Co znaczy być człowiekiem, kiedy maszyna potrafi z nami rozmawiać tak, że trudno odróżnić jej odpowiedź od ludzkiej? Kiedy tworzy obrazy, muzykę, teksty, wobec których pytanie „kto to zrobił?” przestaje mieć jasną odpowiedź? Ale to dopiero powierzchnia. Pod nią zachodzi coś poważniejszego: zmienia się sam człowiek – jego zdolności, jego uwaga, jego wyobrażenie o tym, co warte uwagi. Mózg, który przestaje pisać sam, traci pewną sprawność. Wyobraźnia, która przestaje się mierzyć z pustą kartką, traci pewną twórczą siłę. Tego wyścigu nie da się wygrać poświęcając czas, pieniądze czy inne dobra. Stawką nie jest to, co wybieramy, ale to, kim się przy tym stajemy – i czy w ogóle pozostaniemy autorami własnego życia.

Każdy z tych trzech wyścigów jest realny. Każdy stawia przed nami trudne pytania. Ale gdy patrzy się na sposób, w jaki – w mediach, w debatach branżowych, w rozmowach prywatnych – o nich mówimy, można zauważyć coś niepokojącego. W większości ta rozmowa toczy się językiem, w którym to AI jest aktorem. „AI narzuca tempo”. „AI wymaga”. „AI zmienia”. „AI redefiniuje”. Gramatycznie technologia stała się podmiotem zdań, a my – biegaczami w zaproponowanych przez nią wyścigach.

A biegacz, jak wiadomo, nie ustala zasad biegu. Nie wybiera trasy. Nie decyduje o nagrodach. Może jedynie biec szybciej albo wolniej, mądrzej albo rozpaczliwiej. Jego rola jest, w sensie ścisłym, przedmiotowa. Biegacz biegnie, choć nie wybrał ani trasy, ani celu.

To właśnie ten wymiar epoki AI najbardziej nam umyka – bo jest wpisany w sam sposób dyskusji o niej. Nie jest to wymiar konkretnych zagrożeń (utrata pracy, dezinformacja, koncentracja władzy) ani konkretnych nadziei (wzrost produktywności, postęp medycyny). Jest to wymiar głębszy: kondycja podmiotu, który mówi o sobie tak, jakby już z góry zgodził się na bycie przedmiotem.

Epoka AI zmusza nas do biegu w trzech wyścigach jednocześnie: o kompetencje, ośd i tożsamość, ale najważniejsza stawka kryje się głębiej – w zachowaniu podmiotowości. Gdy zaczynamy mówić o technologii jak o sile, która sama „narzuca”, „wymaga” i „zmienia”, łatwo przeoczyć moment, w którym z uczestników procesu stajemy się jedynie jego przedmiotami.

A to nie jest błaha sprawa. Bo różnica między byciem podmiotem a byciem przedmiotem jest jedną z najważniejszych różnic, jakie człowiek może rozważać w odniesieniu do siebie. Tradycje filozoficzne i religijne od tysiącleci nazywają to różnicą między autorstwem a poddaniem. Współczesna psychologia mówi o poczuciu sprawczości jako fundamencie zdrowia psychicznego. Przekonanie, że obywatele są podmiotami, a nie obiektami zarządzania jest fundamentem polityki demokratycznej.

Jeśli o AI mówimy tak, jakby działała poprzez nas, to już mamy do czynienia z kosztem znacznie większym niż utrata kilku zawodów czy konieczność przekwalifikowania. Mamy do czynienia z dobrowolnym, choć niezauważonym, oddawaniem podmiotowości. I to jest prawdziwa stawka rozmowy o AI.

Sprawa ta ma jednak głębszy wymiar, bo w rzeczywistości to nie AI pozbawia nas podmiotowości.

Kto naprawdę nadaje tempo

Choć mówi się, że to „AI narzuca”, w praktyce nie robi tego AI. Więc kto?

Pytanie wygląda na proste, ale odpowiedź na nie wymaga rozróżnień. Bo każdy z trzech wyścigów jest narzucany w innym trybie, przez inne mechanizmy.

Wyścig kompetencyjny. To w tym wyścigu retoryka „AI narzuca tempo” jest najbardziej myląca. Pracownik biurowy siedzący przed ekranem nie jest pod presją ze strony modelu językowego. Model językowy nikogo do niczego nie zmusza, nikogo nie zwalnia. Jest pod presją konkretnego pracodawcy, który w modelu językowym widzi sposób na redukcję zatrudnienia, kosztów albo czasu realizacji projektu. To bardzo konkretna relacja władzy – między kapitałem a pracą – w której „AI” pełni funkcję wygodnej zasłony.

Spójrzmy na to bezpośrednio. Kiedy mówimy pracownikowi „musisz się ciągle uczyć, bo AI” – robimy trzy rzeczy naraz. Po pierwsze, rozmywamy odpowiedzialność: zamiast nazwać konkretną decyzję biznesową (automatyzacja czynności, redukcja zatrudnienia w określonych

zespołach), odsyłamy do bezosobowej siły. Po drugie, uniewinniamy decydentów: skoro to „AI”, to nikt konkretny nie jest odpowiedzialny. Po trzecie, przerzucamy koszt systemowej zmiany na jednostkę: pracownik ma się dostosowywać, choć nie ma wpływu na decyzje, które go dotyczą.

Mówiąc inaczej: hasło „biegnijmy szybciej, bo AI” jest wygodnym wybiegiem stosowanym przez tych, którzy na tym biegu zarabiają. Inwestorzy oczekujący wzrostu produktywności kwartał do kwartału, giganci technologiczni, dla których tempo wdrożeń jest modelem biznesowym, konsultanci, dla których lęk przed pozostaniem w tyle to źródło zarobku – wszyscy oni mają interes w tym, żeby narracja brzmiała tak, jak brzmi. To nie spisek, to po prostu mechanizm odzwierciedlający interesy tych grup. Jeśli debata publiczna przejmuje to hasło bezrefleksyjnie, pełni wobec tych interesów funkcję służebną.

Nie znaczy to, że uczyć się nie warto. Znaczy tylko, że pytanie „jak biec szybciej” jest pytaniem zastępczym. Pytaniem właściwym jest: kto ustala tempo? Czyim kosztem? Jakie instytucje mogłyby to tempo negocjować? Gdzie w rozmowie o AI są dziś związki zawodowe? Gdzie są polityki publiczne, które traktują transformację pracy jako problem zbiorowy, a nie indywidualną powinność? Te pytania są w polskiej i europejskiej debacie publicznej niewystarczająco obecne.

Wyścig o osąd. Ten wyścig jest hybrydą. Ma wymiar indywidualny i zbiorowy, a każdy z nich rządzi się inną logiką. Wymiar indywidualny – pytanie, co warto robić z tym narzędziem w moim własnym życiu, pracy, twórczości – ma

wymiar faktycznie osobisty. Tu nikt nikomu nic nie narzuca. Tu trzeba się z sobą i rozważyć wewnętrznie: na czym mi zależy, jakie pytania warto zadawać, gdzie szukać wartości, w którą stronę iść z tym wszystkim, co AI mi udostępnia. To są pytania, które każdy z nas powinien zadać sobie sam, i nikt nas w tym nie wyręczy.

Ale wyścig o osąd ma też wymiar zbiorowy – i tu sprawa wygląda zupełnie inaczej. Pytania o to, w którą stronę rozwija się sama technologia, jakie jej zastosowania są wspierane, jakie ograniczane, jakie wartości są w nią wbudowywane – to pytania czysto polityczne. I tu formuła „AI wymaga od nas lepszego osądu” okazuje się wręcz mistyfikacją. AI niczego od nas nie wymaga. To my powinniśmy mieć prawo decydowania o jej kierunku, ale tego prawa dziś nie mamy, bo zostało ono skoncentrowane w rękach bardzo wąskiej grupy aktorów: kilku amerykańskich i chińskich firm, grupy inwestorów oraz polityków dwóch państw.

Europa, a tym bardziej Polska, jest w tej strukturze decyzyjnej praktycznie nieobecna. Nie chodzi tu o brak kompetencji technicznych – choć i ten jest realny. Chodzi o coś głębszego: o brak instytucji. Nie mamy dziś żadnej poważnej przestrzeni – ani krajowej, ani europejskiej – w której zbiorowo decydowalibyśmy, do czego chcielibyśmy tej technologii użyć, a czego wolimy uniknąć. Regulacje, które powstają (jak unijny AI Act), są z natury reaktywne – ustalają, co jest zakazane, a nie co warto robić. Strategie i polityki AI oraz komisje etyczne pełnią bardzo często jedynie funkcję fasadową – produkują dokumenty, które niewiele zmieniają. Podobnie tzw. konsultacje społeczne.

W efekcie przyjmujemy AI jak pogodę: dzieje się, trzeba się dostosować. Ale technologie nie są pogodą – są konstruowane. I kiedy jedna strona konstruuje, a druga się adaptuje, nie jest to neutralna dynamika. To relacja władzy, w której jedni ustalają warunki życia drugim. Brak osądu zbiorowego nie oznacza, że osądów nie ma. Oznacza tylko, że są one wydawane gdzie indziej – w salach zarządów trzech-czterech firm, w laboratoriach kilku ośrodków badawczych, w strategiach dwóch państw. A my dostajemy gotowe rozwiązania do wdrożenia, opakowane w retorykę nieuchronności.

Wyścig o tożsamość. Ten wyścig jest najtrudniejszy do uchwycenia – bo jest najgłębszy. W pierwszych dwóch wciąż wiadomo, kto jest podmiotem: pracownik, który ma się dostosowywać; obywatel, który ma decydować. W tym trzecim podmiot jest zarazem przedmiotem zmiany. Nie chodzi już o to, co wybieramy – chodzi o to, co z nas zostaje, kiedy wybór został dokonany, w tle.

I dlatego ten wyścig jest najgroźniejszy. Nie dlatego, że nie ma adresu, pod który można by wysłać protest, ani firmy, którą można by zbojkotować – choć i to prawda. Najgroźniejszy jest dlatego, że gdy zmieniają się same kryteria, znika zdolność rozpoznania, że coś tracimy. Strata nie wygląda na stratę – wygląda na postęp.

Aktorzy oczywiście są: projektanci interfejsów, dla których każdy ułatwiony klik jest sukcesem; firmy, dla których nasze odzwyczajanie się od trudu jest modelem biznesowym; cała ekonomia uwagi, która od dwóch dekad przygotowywała grunt pod ten moment.

Ale w odróżnieniu od pierwszego wyścigu, gdzie wskazanie aktorów wystarczy, by problem nazwać – tu wskazanie aktorów to dopiero początek. Bo nawet gdyby zniknęli, zmiana zachodząca w nas i w kulturze ma już własną dynamikę.

AI nie narzuca nam tempa ani kierunku zmian – robią to konkretni aktorzy, interesy i instytucje, które wykorzystują technologię do kształtowania relacji gospodarczych, społecznych i politycznych. Największym ryzykiem jest przyjęcie tych procesów jako nieuchronnych, bo wtedy tracimy zdolność decydowania nie tylko o tym, jak korzystamy z AI, lecz także o tym, kim się pod jej wpływem stajemy.

Renegocjacja układów sił

Patrząc z dystansu, można zobaczyć w tych trzech wyścigach, że AI jest dziś wykorzystywana do przededefiniowania kluczowych układów sił we współczesnym świecie: między pracą a kapitałem; między obywatelem a władzą; między państwami a wielkimi korporacjami technologicznymi; między klientami a firmami, które wykorzystują AI do profilowania i segmentowania; między człowiekiem a samą technologią itd.

Samo to nie jest niczym złym – każda przełomowa technologia w historii była okazją do takiej renegocjacji. Druk renegocjował relację między Kościołem a wiernymi. Elektryczność – między tym kiedy uznajemy, że kończy się dzień a zaczyna noc. Internet – między dziennikarzem a czytelnikiem. Tym razem stawka jest jednak wyjątkowo

wysoka, bo AI dotyka równocześnie wielu warstw: gospodarczej, politycznej, kulturowej i egzystencjalnej.

AI staje się narzędziem renegocjacji najważniejszych układów sił – między pracą a kapitałem, obywatelem a władzą, państwem a korporacjami technologicznymi i wreszcie człowiekiem a technologią. Te relacje na pewno się zmienią – ale czy będziemy współdecydować o ich nowym kształcie czy jedynie biernie się dostosowywać?

A renegocjacja, która toczy się dziś, ma jedną niepokojącą cechę: odbywa się głównie po jednej stronie stołu. Pracownicy nie negocjują, bo nie mają reprezentacji. Obywatele nie negocjują, bo nie mają instytucji. Państwa europejskie nie negocjują, bo nie mają sprawczości. A jednostki nie negocjują, bo często nawet nie zauważyły, że negocjacje się rozpoczęły.

Pytanie nie brzmi więc „czy AI zmienia układy sił” – bo zmieni. Brzmi: czy będziemy w tej zmianie stroną, czy tylko jej przedmiotem.

Co z tym zrobić?

Skoro każdy z trzech wyścigów jest narzucany w inny sposób, to każdy wymaga innej odpowiedzi. Jedna formuła – czy to „ucz się szybciej”, czy „zwolnij i myśl”, czy „regulujmy AI” – nie wystarczy na wszystkie. Potrzebujemy trzech różnych strategii, dopasowanych do natury każdego z wyścigów.

Wyścig kompetencyjny. Ten wyścig wymaga odpowiedzi politycznej w klasycznym sensie

tego słowa. Nie indywidualnej mobilizacji, lecz odbudowy zbiorowej zdolności do negocjowania tempa i warunków transformacji pracy. To są stare pytania o relacje kapitału i pracy – tylko w nowej szacie. I jak każde stare pytania nie znikną od tego, że je przemilczymy. Co konkretnie musiałoby się zmienić?

Po pierwsze – do publicznej rozmowy musi wrócić temat roli związków zawodowych w gospodarce wiedzy. W krajach takich jak Niemcy czy kraje skandynawskie związki uczestniczą w ustalaniu warunków wdrażania nowych technologii, biorą udział w decyzjach o automatyzacji, mają realny wpływ na to, jak transformacja jest rozłożona w czasie i kogo dotyczy. W Polsce związki praktycznie nie funkcjonują w sektorach, w których AI uderza najmocniej – w usługach intelektualnych, IT, mediach. Bez instytucjonalnej reprezentacji pracowników w tych sektorach ich los jest w całości w rękach pracodawców.

Po drugie – potrzebujemy polityk publicznych, które traktują transformację pracy jako problem zbiorowy. Nie chodzi o blokowanie zmiany, ale o jej rozłożenie w czasie i socjalizację jej kosztów. Programy przekwalifikowania finansowane publicznie. Eksperymentowanie ze skracaniem tygodnia pracy jako formą dystrybucji efektów wzrostu produktywności. Podobnie z dochodem podstawowym na ograniczoną skalę. Renegocjacja relacji między zatrudnieniem etatowym, pracą platformową i samozatrudnieniem. Wszystko to są tematy, które dawno powinny być na agendzie, ale niemal w ogóle nie są.

Po trzecie – trzeba zerwać z retoryką, która całą odpowiedzialność za adaptację

składa na jednostkę. „Każdy musi się ciągle uczyć” jest w obecnym kontekście rodzajem eleganckiego okrucieństwa. Obiecuje indywidualne wyjście z problemu, który jest zbiorowy, i obciąża jednostkę kosztem zmiany, na którą nie ma wpływu. Potrzebujemy nowoczesnego systemu wsparcia ustawicznego uczenia się. Sześćdziesięcioletni księgowy, kasjer w supermarkecie, redaktor lokalnej gazety – wszyscy oni słyszą, że mają „nadażyć”. Większość z nich nie nadaży, nie z braku chęci, ale z powodów strukturalnych.

Wyścig o osąd. Drugi wyścig wymaga odpowiedzi instytucjonalnej. Nie w sensie regulacyjnym (choć i regulacja jest potrzebna), ale w sensie odbudowy miejsc, w których zbiorowo decydujemy o kierunkach rozwoju technologii.

Pojęciem, które być może warto wprowadzić do polskiej debaty publicznej, jest demokracja technologiczna. Nie chodzi w niej o referendum nad każdym algorytmem, ale o zasadę, że decyzje o tym, jak technologia kształtuje życie zbiorowe, powinny być podejmowane w trybie demokratycznym – z udziałem reprezentacji obywatelskiej, a nie tylko w wąskim gronie ekspertów, inwestorów i urzędników.

W praktyce oznacza to potrzebę stworzenia nowych rozwiązań instytucjonalnych, które pozwalałyby włączyć szerokie rzesze obywateli w poszukiwanie odpowiedzi na pytania: „jak chcemy, żeby AI była używana w polskiej szkole?”, „co chcemy regulować w obszarze AI i opieki zdrowotnej?”, „jakie zastosowania AI w administracji publicznej akceptujemy, a jakich nie?”. W Polsce mamy doświadczenie

z panelami obywatelskimi, więc jest na czym budować.

Potrzebny jest też nowy typ zaangażowania społeczeństwa obywatelskiego w sprawy AI. Dziś organizacje pozarządowe zajmujące się AI to głównie wąska grupa zajmująca się prawami cyfrowymi – i robi to dobrze, ale to za wąsko. Brakuje organizacji, które łączyłyby kompetencje techniczne z pytaniami o jakość pracy, dobrostan psychiczny, edukację, sztukę, demokrację. Każda z tych dziedzin powinna mieć swoich kompetentnych rzeczników w sprawach AI, niezwiązanych z firmami technologicznymi.

I – to dla nas najważniejsze – Europa musi znaleźć swoją rolę. Nie w wyścigu obliczeniowym, którego strukturalnie nie wygra (skala kapitału, dostęp do energii, koncentracja talentów po stronie amerykańskiej i chińskiej), ale w byciu miejscem, gdzie AI jest lepiej pomyślana – głębiej osadzona w instytucjach społecznych, lepiej zintegrowana z pluralizmem wartości, testowana pod kątem pytań szerszych niż kwartalna produktywność. To wymaga zarówno regulacji (i AI Act jest tu pierwszym krokiem), jak i pozytywnej wizji – czego chcemy od AI, a nie tylko czego się boimy.

Polska ma w tym europejskim projekcie szansę odgrywać istotną rolę – jako kraj o żywych instytucjach pośredniczących, niezakończonych tradycji społecznej gospodarki rynkowej, doświadczeniu transformacji ustrojowej, które uczy myśleć o instytucjach jako o czymś, co się buduje, a nie zastaje. Ale to wymaga czegoś, czego dziś brakuje: świadomej decyzji, że chcemy być w tym aktywnym graczem. Że nie godzimy się być

tylko rynkiem zbytu i „kolonią danych” dla rozwiązań projektowanych gdzie indziej.

Wyścig o tożsamość. Ten wyścig wymaga odpowiedzi, której nie da się zorganizować z poziomu polityki. Bo problem nie jest polityczny. Polega on na tym, czy uda się nam – osobno i zbiorowo – zachować w sobie coś, czego technologia nie zastąpi.

Każdy z trzech wyścigów wywołanych przez rozwój AI wymaga innej odpowiedzi: politycznej wobec przemian pracy, instytucjonalnej wobec kierunków rozwoju technologii oraz kulturowej i osobistej wobec zmian zachodzących w wymiarze tożsamościowym. Wspólnym celem tych strategii powinno być odzyskanie sprawczości – tak, aby AI nie była jedynie siłą, do której się dostosowujemy, lecz technologią, o której zastosowaniach i granicach potrafimy świadomie współdecydować.

Na poziomie indywidualnym rzecz dotyczy podstawowej higieny umysłowej. Zdolności do ciszy. Niespiesznego myślenia. Pisania bez asystenta. Czytania bez podsumowania. Rozmowy bez wyszukiwania w czasie rzeczywistym. Spaceru bez podcastu. To są rzeczy, które ludzkość praktykowała przez tysiąclecia, a które dziś – w epoce nieustannej dostępności AI – wymagają już świadomej decyzji.

Nie chodzi tu o ascetyzm ani o technofobię. Chodzi o utrzymanie w sobie zdolności, którą można utracić przez zaniedbanie. Zmiany te dzieją się powoli i są w dużej mierze odwracalne – ale tylko jeśli się je zauważy.

Higiena indywidualna jednak nie wystarczy, bo pole obrony na poziomie kultury jest trudniejsze. Już ponad trzy dekady temu Neil Postman opisał ten poziom w *Technopolu*: stan, w którym technologia przestaje być narzędziem, a staje się autorytetem definiującym, co w ogóle uznajemy za sensowne. To, czego nie da się zmierzyć, zautomatyzować, zapisać w danych – przestaje istnieć. Postman ostrzegał wtedy, że wolność w takiej kulturze nie zostaje odebrana siłą; zostaje rozpuszczona w wygodzie. AI jest dziś kulminacją tej dynamiki, nie jej źródłem.

Pytanie brzmi więc: jakie kultury są odporne na erozję podmiotowości, a jakie są na nią podatne? Społeczeństwa, które mają silne tradycje kontemplacyjne, bogate życie wspólnotowe, żywe instytucje rodziny, religii, sztuki – mają coś, na czym mogą się oprzeć. Społeczeństwa, w których te instytucje są osłabione, mogą stracić podmiotowość szybciej, niż się spodziewamy.

To kieruje uwagę w nieoczywiste strony. Polityka kulturalna, edukacja humanistyczna, wsparcie dla wspólnot lokalnych, przestrzeń dla religii w rozmowie publicznej (niezależnie od tego, jak każdy z nas o niej myśli prywatnie), wartość wolnego czasu nieprzerywanego ekranami – wszystko to są w tej perspektywie sprawy nie tylko kulturowe, ale wręcz strategiczne. Bo bez nich nawet najlepsza regulacja AI będzie próbą zatrzymania rzeki gołymi rękami.

Podmiotowość jako stawka

Wszystkie trzy odpowiedzi – polityczna, instytucjonalna, egzystencjalno-kulturowa

– mają wspólny korzeń. Każda z nich jest, w swoim trybie, ćwiczeniem podmiotowości.

Pierwsza – odzyskiwaniem podmiotowości pracowniczej i obywatelskiej w sferze gospodarczej. Druga – odbudowywaniem podmiotowości zbiorowej w sferze decydowania o kierunkach rozwoju technologii. Trzecia – kultywowaniem podmiotowości osobistej w intymnym wymiarze codziennego życia, myślenia i języka.

Wszystkie trzy są potrzebne. Żadna sama nie wystarczy. Ale ich wspólny mianownik jest istotny: każda z nich opiera się na założeniu, które dziś nie jest oczywiste – że jesteśmy podmiotami, a nie tylko obiektami procesu, który nas obejmuje.

Musimy pamiętać, że podmiotowość nie jest nam dana raz na zawsze. Można ją stracić. I – co najistotniejsze – można ją stracić nie tylko przez przemoc, ale także przez wygodę. Nie tylko przez to, że ktoś nam coś zabierze, ale również przez to, że sami coś oddamy, nie zauważając kiedy. Tak właśnie się dzieje w kolejnych obszarach „przejmowanych” przez AI. Nikt nam podmiotowości nie odbiera. My ją oddajemy – w gramatyce, w priorytetach, w sposobie organizowania sobie dnia, w mikronawykach, które nakładając się na siebie tygodniami i miesiącami zmieniają nas samych.

Dlatego pierwszym krokiem nie jest ani regulacja, ani technologia, ani polityka. Jest nim zauważanie. Zauważanie, kto jest podmiotem zdań, którymi opisujemy świat. Zauważanie, kto zyskuje na takiej, a nie

innej narracji. Zauważanie, kiedy mówimy „AI wymaga”, choć moglibyśmy powiedzieć precyzyjniej. Zauważanie, kiedy delegujemy maszynie coś, co właściwie chcielibyśmy zachować dla siebie.

Prawdziwą stawką epoki AI jest podmiotowość – zdolność do zachowania sprawczości w sferze pracy, życia publicznego i codziennych wyborów. Możemy ją utracić nie tylko przez przymus, lecz także przez wygodę i bezrefleksyjne oddawanie decyzji technologii. Kluczowe jest świadome uczestnictwo w zmianie, zamiast biernego poddawania się jej.

Małe pytanie, postawione dostatecznie wiele razy – kto? – ma siłę, której nie ma żadna technologia. Bo zmusza ludzi – nas samych i innych – do brania odpowiedzialności za decyzje, które wolą ukryć się za bezosobowym językiem postępu. Nie jest to pytanie filozoficzne. Jest to podstawowe narzędzie obywatelskiej samoobrony w epoce, w której technologia stała się głównym alibi władzy.

Wciąż jeszcze mamy podmiotowość. Nie pozwólmy dobrowolnie się jej pozbawić i nie zrezygnujmy z niej sami. Na naszych oczach przeddefiniowywane są układy sił, w których będą żyć przez kolejne dekady nasze dzieci i wnuki – między pracą a kapitałem, między obywatelem a władzą, między człowiekiem a technologią, itd. Tej renegocjacji nie da się powstrzymać. Można jednak zdecydować, czy uczestniczymy w niej jako strona, czy jesteśmy jej przedmiotem. A podmiotowość to specyficzna wartość – jeśli raz ją oddamy, trudno będzie ją odzyskać.

O AUTORZE

Andrzej Halesiak – ekonomista i menedżer. Przewodniczący Rady Polskiego Instytutu Ekonomicznego, Członek Rady Nadzorczej Polskiego Funduszu Rozwoju, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego, Konsultant Banku Światowego. Wcześniej przez kilkanaście lat związany z sektorem bankowym, gdzie piastował menedżerskie stanowiska w obszarach związanych z rynkami finansowymi i analizami strategicznymi. Był także przez kilka lat zatrudniony w firmie doradczej McKinsey & Company. Karierę zawodową rozpoczynał w administracji publicznej (Departament Polityki Finansowej i Analiz w Ministerstwie Finansów). Absolwent Akademii Ekonomicznej w Krakowie oraz Szkoły Biznesu Politechniki Warszawskiej (Executive MBA, Akademia Psychologii Przywództwa). Autor i współautor licznych opracowań, raportów i artykułów poświęconych makroekonomii i rynkom finansowym. Prowadzi bloga poświęconego zagadnieniom gospodarczym i społecznym (www.andrzejhalesiak.pl).